Nr. 37. Sobota, dnia 9-go września 1916

Gość Świąteczny.

Bezpłatny dodatek.

Na niedzielę trzynastą po Ziel. Świątkach.

LEKCYA

z listu św. Pawła do Galatów rozdział III, wiersz 16—22.

Bracia! Abrahamowi opowiedziane są obietnice i nasieniu jego. Nie mówi i nasieniom, jakoby w wielu, ale jako w jednem: i nasieniu twojemu, który jest Chrystus. A to powiadam, testamentu przedtem od Boga utwierdzonego, zakon, który po czterech set i trzydzieści lat dany jest, nie wątli ku zepsowaniu obietnice. Albowiem jeśliż z zakonu dziedzictwo, już nie z obietnicy. Lecz Abrahamowi przez obietnicę Bóg darował. Cóż tedy zakon? Postanowiony jest dla występców, ażby przyszło nasienie, któremu obiecał rozrządzony przez anioły w ręce pośrednika. A pośrednik nie jestci jednego, lecz Bóg jeden jest. Zakon tedy przeciwko obietnicom Bożym? Nie daj Boże! albowiem gdyby był dany zakon, któryby mógł ożywiać, prawdziwieby z zakonu była sprawiedliwość. Ale pismo zamknęło wszystko pod grzechem, aby obietnica z wiary Jezusa Chrystusa była dana wierzącym.

EWANGELIA

u św. Łukasza rozdział XVII, wiersz 11—19.

W on czas, gdy szedł Jezus do Jeruzalem, przechodził środkiem Samaryi i Galilei. A gdy wchodził do niektórego miasteczka, zabieżeli Mu dziesięć mężów trędowatych, którzy stanęli z daleka, i podnieśli głos, mówiąc: Jezusie, Nauczycielu, zmiłuj się nad nami! Które ujrzawszy, rzekł: Idźcie, ukażcie się kapłanom. I stało się, gdy szli, byli oczyszczeni. A jeden z nich widząc, że był uzdrowiony, wrócił się, głosem wielkim chwaląc Boga, i padł na oblicze u nóg Jego, dziękując: a ten był Samarytan. A Jezus odpowiedziawszy, rzekł: Ażaliż nie dziesięć jest oczyszczonych? a dziewięć kędy są? Nie jest nalezionу, którуby się wrócił, a dał Bogu chwałę, jedno ten cudzoziemiec. I rzekł mu: Wstań, idź, bo wiara twoja cię uzdrowiła.

NAUKA.

Działo się to, co dzisiejsza Ewangelia opowiada, wkrótce po tem, kiedy Samarytanie na złość Panu Jezusowi i Apostołom zatarasowali przed Nim bramy miasta, przez które zamierzał przejść. Apostołowie wtenczas tak się unieśli gniewem, że już gotowi byli zniewagę im i Panu Jezusowi wyrządzoną pomścić ogniem z nieba, Pan Jezus zaś hamując zapalczywość ich „sfukał je, mówiąc: Nie wiecie, czyjego ducha jesteście; Syn człowieczy nie przyszedł dusze tracić, ale zachowywać.” Czego wymagał od uczniów, tego sam też przestrzega i niepomny doznanej zniewagi przy pierwszej sposobności dobrodziejstwo świadczy Samarytaninowi nie inaczej, jak innym. Bo wogóle Pan Jezus dobrze nam czyni nie tyle dlatego, że my jesteśmy dobrzy, ale iż On jest dobry.

Potrzeba jednak i z naszej strony niektórych przynajmniej warunków, żeby stać się uczestnikami szczególniejszych darów Bożych. Jak ci trędowaci byli dobrze świadomi swojej nędzy, gorąco pragnęli jej się pozbyć, rozumieli też, że to potrafią za łaską Pana Jezusa, i dlatego dowiedziawszy się o zbliżaniu się Jego, prędko bez straty czasu porozumieli się ze sobą i „zabieżeli Mu drogę,” a z uszanowania i pokory „stanęli z daleka i podnieśli głos, mówiąc: Jezucie Nauczycielu, zmiłuj się nad nami”, i wreszcie ściśle spełnili, co im Pan Jezus był nakazał; tak samo i nam potrzeba czynić. Mianowicie więc potrzeba i nam, jeśli chcemy być wysłuchanymi, gorąco pragnąć tego, o co prosimy; potrzeba być przejętym świadomością o naszej własnej niemocy, „nie iżebyśmy byli dostateczni sami z siebie co myśleć, jako sami z siebie, ale dostateczność nasza z Boga jest”; potrzeba wreszcie tem więcej ufać w Panu Bogu, im więcej wątpimy o sobie. Gdzie są te trzy warunki, tam nie trudno też o ono „zabieżeli Mu”, czyli o korzystanie z każdej okazyi zbliżenia się Pana Jezusa ku nam. Taką okazyą jest obecność ustawiczna Pana Jezusa w Przenajświętszym Sakramencie, zwłaszcza w tych porach dnia, w których On tam przez innych jest prawie opuszczony i jakby zapomniany. Taką okazyą szczególnie korzystną bywa uroczyste wystawienie Przenajświętszego Sakramentu; najlepszą jednak okazyą uproszenia wszelkich, by też największych i nadzwyczajnych łask, jest Msza św., połączona o ile możności z godną Komunią św. Są i inne, nadzwyczajne okazye, mianowicie miejsca cudowne i odpusty jubileuszowe, przy których masz zarazem i one zwyczajne okazye. Gdyby ludzie chcieli to zrozumieć i należycie korzystać z tych różnych i tak łatwych sposobności, to prędko przekonaliby się, że „nie ukróciła się ręka Pańska” i że modlitwa nie przestała być prawdziwą potęgą. Gdzie jest to troje, tam też będzie to „stanęli z daleka”; nie będzie onego pchania się na miejsca w kościele znaczniejsze i wygodniejsze, ale pełne skromności, pokory i uszanowania poprzestawanie na kąciku, choćby ostatnim; będzie też chętne łączenie się z drugimi, mającymi także swoje potrzeby i biedy, żeby wziąć od nich i nawzajem dać im pomoc w proszeniu i uproszeniu Pana Jezusa; będzie i głośne, to znaczy wytrwałe i pokorne, a więc niebiosa przebijające wołanie: będzie wreszcie zamiast wielomówstwa i pustego sadzenia się na frazesy, ono krótkie, a tak pełne wyłącznego na miłosierdziu i Sercu Jezusowem polegania: „Zmiłuj się nad nami.”

„Gdy ujrzał”. Spojrzenie Pana i Boga naszego jest niepojęcie potężne i dobroczynne. Tak masz w Piśmie św.: „Bóg pojrzał na ziemię i... napełnił ją dobrami swemi;” Matka Najświętsza mówi: „Wejrzał na niskość służebnicy swojej, a... otc odtąd błogo-

trze św. czytamy, że „Pan obróciwszy się pojrzał na Piotra... a Piotr wyszedłszy precz, gorzko głakał”. A wreszcie ono spojrzenie Pana Jezusa, które dało nam Matkę Jego Najświętszą za Matkę najlepszą i najserdeczniejszą: „Gdy tedy ujrzał Jezus Matkę i ucznia, którego miłował, stojącego, rzekł Matce swojej: Niewiasto, oto syn twój; potem rzekł uczniowi: Oto Matka twoja.” Daj Boże każdemu z nas, aby Pan Jezus spoglądał na nas i teraz w życiu, a szczególnie w godzinę śmierci łaskawem swojem i miłościwem okiem; ale też daj nam to Boże, żebyśmy nigdy ani na chwilę nie zapominali o tem, że jesteśmy pod okiem Jego, przenikającem serca i dusze nasze i „widzącem w skrytości”; ani żebyśmy, gorzej jeszcze, nie naśladowali kiedy onych okrutników, co znęcając się nad Panem Jezusem w ciemnicy, „zakryli Go, i bili oblicze Jego”, by snać spojrzenie Jego nie zmiękczyło ich twardych serc.

„Idźcie, ukażcie się kapłanom”. Mógł Pan Jezus i tych dziesięciu trędowatych uzdrowić jednym aktem swej woli: „chcę, bądź oczyszczon”; dlaczego tedy odsyła ich do kapłanów? Podobno są tego głównie trzy przyczyny. Pierwsza, że chciał Pan Jezus zaznaczyć, jak wielką jest powaga kapłanów przez Niego postanowionych, gdyby nawet byli tak, jak większa część ówczesnych kapłanów, obłudnikami w najgorszem tego słowa znaczeniu. Wszak i odpuszczanie grzechów daje nie kto inny, jeno sam Pan Jezus, a jednak grzeszników odsyła po nie do kapłanów swoich z wyraźnym nakazem: „okażcie się kapłanom”, to znaczy okażcie im grzechy swoje, wyznajcie je szczerze, bez ogródki, niczego przed nimi nie ukrywając. Ma też każdy dozwolony sobie przystęp do Pana Boga, i każdy by też ostatni nędzarz ma nadane sobie od Boga prawo wołać i prosić: „Ojcze nasz, któryś jest w niebiesiech,” a jednak najskuteczniejszą modlitwę, którą jest Msza św., zlecił Pan Bóg wyłącznie kapłanom i po nią odsyła wszystkich do kapłanów, jako jest u proroka: „Między przysionkiem a ołtarzem będą płakać kapłani słudzy Pańscy, a będą mówić: Przepuść, Panie, przepuść ludowi Twemu... żalem zdjęty Pan nad ziemią swoją, a przepuścił ludowi swemu”. Podtrzymuje Pan Bóg powagę kapłanów swoich i dlatego chociaż On jeden tylko jest Panem, przecież daje kapłanom moc rozkazywania i zakazywania, i wyraźnie mówi do nich: „Kto was słucha, Mnie słucha, a kto wami gardzi, Mną gardzi”.

Drugim powodem tego odesłania trędowatych do kapłanów jest ustawa Mojżeszowa, która dla bezpieczeństwa od zarazy wykluczała trędowatych od spotykania z ludźmi i zabraniała im powracać do wspólnego z ludźmi pożycia, pókiby kapłani nie poświadczyli, że są już wolni od trądu. W nowym Zakonie ustawy, odnoszące się do zdrowia ciała, należą raczej do władzy świeckiej, niż do duchownej. Gorszy jednak i zaraźliwszy od trądu jest grzech i władza duchowna korzysta z prawa jej od Boga danego, żeby grzeszników szczególnie niebezpiecznych dla wiernych wykluczać ze społeczeństwa chrześciańskiego. Tak już Paweł św. nakazuje: „Pisałem wam w liście, abyście się nie mieszali z porubnikami... lecz teraz pisałem wam, żebyście się nie mieszali: jeśli ten, który się bratem mianuje, jest porubnikiem, albo łakomym, albo służącym bałwanom, albo złorzeczącym, albo pijanicą, albo drapieżcą, żebyście z takowym ani jedli.” Takie wykluczenie nazywamy „ekskomuniką”; ekskomunika zaś wydana przez władzę duchowną obowiązuje i ekskomunikowanego i wszystkich wiernych pod grozą onych słów Pańskich: „Jeśliby Kościoła nie usłuchał, niechci będzie jako poganin i celnik.”

Trzecim wreszcie powodem jest wykazanie potrzeby naszego spółdziałania z każdą łaską Bożą. Gdyby oni trędowaci nie byli usłuchali rozkazu Pańskiego i nie byli chcieli pójść okazać się kapłanom, nie byliby w drodze do nich uzdrowieni. Zrozumiejże, jak potrzebną i pożyteczną jest rzeczą być posłusznym Bogu, kierować się we wszystkiem nie swoją, ale Bożą wolą.

Na dziesięciu uzdrowionych znalazł się jeden tylko poczuwający się do wdzięczności i dający chwałę Bogu! I dziś między nami nie lepiej się dzieje; mało ma Pan Bóg prawdziwie wdzięcznych, ale bardzo wielu narzekających. Niech tylko Pan Bóg kogo w czemkolwiek zasmuci, taki zwykle nic już nie dba na wszystkie dobrodziejstwa Boże, jeno narzeka. Tobie np. dał Pan Bóg: i dostatek chleba, wcale dobre w rodzinie pożycie, jaką taką wziętość między ludźmi i nad to wszystko spokojne sumienie, ale ci nie dał, albo któremu z dzieci twych zdrowia, już wciąż narzekasz i gryziesz się, jakbyś był najnieszczęśliwszą na Bożym świecie istotą. Tobie dóbr doczesnych Pan Bóg rzeczywiście dał niewiele i musisz z każdym groszem się rachować, narzekasz więc dlatego, że Pan Bóg o tobie zapomniał, że i żyć już nie warto, i na domiar złego jeszcze zazdrościsz drugim, którym Pan Bóg dał więcej niż tobie. A jednak, rozpatrz się pomiędzy twoimi, ale pomiędzy wszystkimi twoimi znajomymi i porachuj, czy między nimi więcej jest takich, z którymibyś się chciał na los twój zamienić, czy też takich, z którymibyś za nic w świecie mieniać się nie chciał? A chociażbyś był najbiedniejszym między ludźmi, to przecież jesteś o wiele szczęśliwszym od biednych pogan, Turków i żydów, co nie znają Boga, ani Matki Najświętszej, i nie mają nadziei wiecznego zbawienia, jak ty ją masz. Odczże się, i zaprzesłań już raz tego narzekania i gryzienia się, a raczej usłuchaj Apostoła upominającego: „Zawsze się weselcie... we wszystkiem dziękujcie, albowiem ta jest wola Boża w Chrystusie Jezusie, ku nam wszystkim.”

X. J.

PIOTRUŚ.

(Z FRANCUSKIEGO).

(Ciąg dalszy.)

XXX.

Jasiek odwrócony plecami do drzwi, i zajęty opowiadaniem, nie widział wchodzącego. Piotruś zbliżył się do niego i niespodzianie uderzył go po ramieniu.

— He, cóż tam za śmiałek? — krzyknął młokos odwracając się na stołku.

Na widok Piotrusia zbladł jak ściana i zerwał się z miejsca.

— Czego chcesz odemnie? — groźnie zapytał.

Piotruś popatrzył nań przenikliwie a trząsł się z gniewu jak liść osiny. W spojrzeniu tem mieściło się tyle nienawiści, pogardy i żądzy zemsty, że Jasiek cofnął się mimowolnie.

— Przychodzę — mówił powoli Piotruś — zapytać się ciebie, co robiłeś dziś rano. Byłbym bardzo rad, gdybyś mi wytłómaczył co za interes miałeś w

La Queyrie i coś powiedział pannie Lorin na cztery oczy, tak jak teraz stoisz przedemną? Odpowiadaj!

— A to zabawne rzeczy! — odparł Jasiek, przymuszając się do śmiechu. — Cóż to, czy ja ci będę składał rachunki z tego, co robię? I jakie prawo masz zadawać mi pytanie, na które wcale nie myślę odpowiadać?

— Powiadam ci, że jak tylko zechcę, to mi odpowiesz!

— Niedoczekanie twoje.

— Ostrzegam cię, Jaśku, nie draźnij mnie, bo krew się we mnie burzy! Zresztą nie potrzebuję twojej odpowiedzi. Wiem, coś mówił i co robiłeś u Lorinów; i dlatego właśnie, że wiem, przyszedłem tutaj rozmówić się z tobą i zmusić cię, żebyś prosił o przebaczenie... ty podły nikczemniku, co masz odwagę znieważać kobietę!

— Coś ty powiedział? — zaryczał Jasiek, którego Filip przytrzymał w pół w chwili, kiedy chciał rzucić się na Piotrusia. — Puszczaj mnie, puszczaj! Niech ja nauczę tego śmiałka!

— Puść go, Filipie, może teraz będzie odważniejszy. Ah, myślałeś, że ci to ujdzie bezkarnie, że nikt się o tem nie dowie? Otóż grubo się omyliłeś. Był wówczas w dziedzińcu mały pastuszek, który słyszał, coś mówił, mój ty zuchu! On mi to wszystko opowiedział i dodał coś więcej jeszcze, czego ty może nie wiesz, że pilnował cię przez otwarte okno, trzymając kamień w ręku, gotów rozbić ci nim głowę, gdybyś choć jednym palcem dotknął był Milki. Dzieci miewają czasem dobre instynkta, a na odwadze nigdy im nie zbywa. Przychodzę więc tutaj zapytać się ciebie, czy to prawda, co on mówił? Odpowiadaj, słyszałeś? Odpowiadaj mi zaraz! — krzyknął w straszliwym gniewie.

— A więc prawda — odrzekł Jasiek, który tymczasem wyrwał się z rąk Filipa — powiedziałem, co mi się podobało, i powtórzę znowu, kiedy zechcę... czy słyszysz? Powtórzę, bo kocham Milkę, twoją narzeczoną... twoją niedoszłą...

Piotruś zbladł jak trup; z piersi głuchy jęk mu się wydobył. Nie dał skończyć Jaśkowi i rzucił się nań z zaciśniętą pięścią. Cios był gwałtowny i silny. Jasiek zachwiał się, chwycił ręką za stół, aby nie upaść i w tejże chwili rzucił się na swego przeciwnika. Zanim jednak go uderzył, potoczył się znowu, odepchnięty silną ręką Piotrusia.

— Rozłączyć ich, rozłączyć! — wołali obecni wieśniacy.

— Macie się bić, to wychodźcie na ulicę! — krzyczał przerażony szynkarz. — Tu mi wszystko potłuką.

Dwaj wieśniacy, znajomi Piotrusia, wzięli go pod ręce i wyprowadzili z karczmy. Inni przytrzymali Jaśka, ale on wyrwał im się, i jednym skokiem, jak dzikie zwierzę, schwyciwszy stojący w kącie drąg żelazny, zaczął nim wywijać nad głową.

W karczmie powstała trwoga do nieopisania, wieśniaczy zaczęli chyłkiem uciekać. Jeden tylko Filip, odważniejszy od innych, zrozumiawszy grożące niebezpieczeństwo i że bądź co bądź trzeba szaleńcowi odebrać zabójcze narzędzie — zręcznym manewrem wyrwał żelazo z rąk Jaśka, którego otoczono teraz zwartem kółkiem, nie dozwalając mu ruszyć się z miejsca. Tymczasem przyjaciele Piotrusia odprowadzili go daleko poza miasteczko.

XXXI.

Kiedy już Jasiek ochłonął z gniewu, a w braku przeciwnika, znikła obawa ponowienia walki, ściśniające go kółko rozszerzyło się i zostawiono mu swobodę działania. Niektórzy z obecnych zaczęli mu perswadować.

— Dałbyś już pokój Milce. Co cię ona może obchodzić? Zostaw ją Piotrusiowi; kochają się oboje, mają się pobrać. Cóż na to poradzisz?

— Zresztą — dodawali inni — Piotruś niedługo tu zabawi a jak odejdzie do pułku, któż ci wtenczas przeszkodzi umizgać się do pięknej Mileczki? Dziewczyna odepchnie cię raz i drugi, ale w końcu da się przebłagać... pójdziemy do pana mera, żeby opisał tę historyę w swoich książkach, a potem Piotruś niech sobie zdrów wraca; ani popiołu z dawnej miłości nie zostanie.

Ale Jasiek odpowiadał uparcie:

— Dajcież mi pokój! Waszych rad nie potrzebuję! Zrobię, co mi się będzie podobało.

— Rób, jak chcesz — odezwał się nakoniec Franuś, słynny z dowcipu na całą okolicę — zostaw różyczkę dla motyla, to jest niby dla Piotrusia, a sam przyglądaj się z daleka... to już twoja rzecz.

— Ja też cię proszę — odparł Jasiek — żebyś się do mnie nie wtrącał.

— Mniejsza o to — ciągnął tamten dalej — tylkobym radził ci po przyjacielsku, żebyś z Milką nie bywał gwałtowny, bo to bardzo uczciwa panienka. A nawet, gdybyś się nie gniewał, mógłbym doradzić ci, cobyś powinien zrobić, żeby od razu stanąć z nią na lepszej stopie.

— Co takiego? Co to za sposób? — pytali zaciekawieni wieśniacy.

— Oto — kończył Franuś, posuwając się ku drzwiom — powinien by Jasiek pójść w miejsce Piotrusia do wojska.

— Ach ty żmijo przeklęta! — zawołał Jasiek. — Niechno cię złapię!...

Ale dowcipniś był już za drzwiami, a wieśniacy śmiali się do rozpuku z jego złośliwego konceptu.

— Śmiejcie się, śmiejcie — mówił ponuro Jasiek — ale to się źle skończy. Jak Piotruś kark skręci, pewno nie będzie z czego śmiać się.

— Cicho bądź — przerwał Filip, usiłując go wyprowadzić z karczmy — nie gadałbyś głupstwa!

— Gadam, co mi się podoba — wykrzyknął na cały głos Jasiek — i powtarzam raz jeszcze, że jeden z nas musi ustąpić, a przysięgam, że ja nie ustąpię, choćby z własnej mojej ręki miał zginąć.

— Milcz, niesaczęsny! — zawołał przestraszony Filip.

XXXII.

Nazajutrz Placyd przechadzając się zamyślony w pobliżu folwarku, usłyszał jakiś szelest w krzakach; zaciekawiony, coby to być mogło, odsunął gałęzie, i ujrzał zakradającego się Jaśka, który widząc, że jest odkryty, zerwał się na równe nogi.

— Co tu robisz? — ofuknął go exwojskowy. — Czy to tędy, pod płotem, droga dla porządnych ludzi do folwarku?

— Nie — odpowiedział chłodno Jasiek. — Ja też nie szedłem na folwark.

— I miałeś słuszność, żeś tam nie szedł, bo byłbyś źle przyjęty.

— Zapewne przez pana Piotra!

— Tak samo przez niego, jak i przez wszystkich, panie Janie. Jaką miarką mierzysz, taką ci też odmierzają.

— Dziękuję panu za przestrogę.

— Nie ma za co. Bo gdyby naprawde szło o

przestrogi, mógłbym ci ich kilka bardzo dobrych udzielić.

— I jakież to te przestrogi, jeśli łaska?. — zapytał drwiąco Jasiek.

— Najprzód ta, żebyś się nie włóczył po krzakach. Ja strzelam bardzo celnie, panie Jaśku i lubię na ślepo posyłać kulę w gęstwinę. Druga zaś rada, abyś ile możności trzymał się z daleka od La Queyrie, bo cały folwark otoczony jest dołami wilczemi, a przykroby nam było, gdybyśmy przypadkiem zamiast wilka, człowieka ubili. Po ciemku wszystkie koty szare. Zdaje się, że dość jasno się wyrażam... jak myślisz?

— Myślę — odrzekł Jasiek, nie zmieniając szyderczego tonu — że jeżeli to w wojsku uczą tak pięknej wymowy, to można powinszować Piotrusiowi, iż po siedmiu latach, kiedy wróci do domu...

— Dowcipny jesteś, mój chłopcze — przerwał mu Placyd — ale tym razem chybiłeś... Biedny Piotruś podobno nigdy się nie nauczy poprawnie mówić.

— E, cóż znowu... przez siedm lat, to kawał czasu!

— To prawda, ale jeśli kto przez te siedm lat nie ruszy się z domu?...

Jasiek zbladł i cofnął się na te słowa.

— Ah! — zawołał po chwili z wściekłością. — Więc to pan pójdziesz w jego miejsce!

— Zgadłeś może, mój poczciwcze! Ale to dziwna, że tobie też samą myśl podsunęła nienawiść, którą mnie przyjaźń natchnęła!

Jasiek spojrzał nań złowrogo, stał przez chwilę nieruchomy, potem odwrócił się nagle i znikł w zaroślach.

— Trzeba jednak będzie koniecznie się z nim załatwić przed moim odjazdem — rzekł Placyd patrząc za uciekającym.

Następnie usiadł na trawie i zamyślił się głęboko.

XXXII.

Tego wieczora wszyscy przyjaciele nasi z La Queyrie zebrali się przy domowem ognisku. Było to w połowie marca. Pani Katarzyna i Milka szyły przy stole, na którym paliła się lampa. Stary Pascal wygrzewał się przed kominem, zapatrzonym w kilka polan wolnym płonących ogniem. Piotruś stał oparty o gzyms kominka, nie spuszczając oka z wybladłej twarzyczki Milci, która zmizerniała cokolwiek od ciągłego płaczu.

Wszyscy milczeli, nikt nie poruszył się nawet, z wyjątkiem Mateusza, strugającego w kącie obręcze do beczek, i Placyda, niecierpliwym krokiem przechadzającego się wzdłuż sali, i mruczącego pod nosem jakąś koszarową piosnkę.

Rzekłbyś, iż jakiś ciężar niewidzialny spadł na tych poczciwych ludzi, a nieprzeparta siła mowę im zatamowała. Smutne to było milczenie i nikt nie śmiał go przerywać, wiedząc dobrze, iż rozmowa większy jeszcze smutek wywoła.

Jeden tylko Placyd miał widoczną ochotę zawiązania rozmowy. Podchodził to do wuja, to do Piotrusia, to znów do ciotki, stawał przed niemi, otwierał usta — i nic nie powiedziawszy, znowu rozpoczynał swoją wędrówkę.

Nareszcie zbrakło mu cierpliwości, stanął na środku sali i głośno zawołał:

— Nie, dłużej nie wytrzymam! Trzeba już raz koniec temu położyć!

Wszyscy odwrócili się ku niemu ze zdziwieniem, a stary Pascal zapytał:

— Z kim to chcesz skończyć?

— Z kim? — odpowiedział Placyd, zbliżając się. — Ze sobą samym, co milczę jak mruk, kiedym oddawna już powinien był wszystko wypowiedzieć.

— Co takiego?

— Nie rozumiem cię, braciszku.

— Ale ja siebie rozumiem i wy mnie zaraz pojmiecie — rzekł Placyd, siadając. — Rzecz prosta zupełnie, posłuchajcie tylko.

Zwrócił się do wuja; już miał zacząć mówić, ale nagle machnął ręką, jakby zmieniając plan z góry ułożony i odezwał się w te słowa:

— Eh, co tam bawić się w długie gadaniny! Najlepiej przystąpić wprost do rzeczy. To się na nic nie zdało. Posłuchaj mnie, wuju. Piotruś i Milcia kochają się. Jużby połączeni byli oddawna, gdyby im los nie stanął na przeszkodzie, wsuwając Piotrusiowi w rękę ową nieszczęsną trójkę, którą bodajby licho porwało!... Otóż biedne dzieci pogrążone są w rozpaczy, a ja chcę je widzieć szczęśliwemi, chcę, żeby Milcia zawdzięczała mi swoją radość, wesele, swoje kółko rodzinne i wszystko. Wstępuję do wojska w miejsce Piotrusia. (Ciąg dalszy nastąpi).

ANEGDOTKI PERSKIE.

Pewien człowiek kupował dzień po dniu sześć chlebów.

Razu pewnego zapytał się jeden z jego przyjaciół:

— Powiedz, mój przyjacielu, co robisz z sześcioma chlebami?

Zapytany odpowiedział:

— Jeden chleb zachowuję, jeden wyrzucam, dwa chleby oddaję z powrotem, a dwa ostatnie pożyczam.

Na te słowa przyjaciel jego odparł, potrząsając głową:

— Nie mogę twoich słów zrozumieć. Wyrażaj się jaśniej.

— Dobrze — odparł kupujący chleby — chcę ci zatem powiedzieć wyraźnie: Chleb, który zachowuję, zjadam. Ten chleb, który wyrzucam, daję mojemu zięciowi. Dwa chleby, które oddaję, otrzymali moi rodzice, a dwa chleby, które pożyczam, otrzymują moje dzieci.

* * *

Pewien poeta rozgniewał padyszacha. Monarcha nakazał natychmiast ściąć mu głowę.

Podczas, gdy kat poszedł, aby przynieść swój miecz, skazany rzekł do obecnych:

— Jak długo miecza jeszcze nie przyniesiono, tak długo dawajcie mi policzek po policzku, aby król się nie nudził.

Te słowa zniewoliły króla do śmiechu. A śmiejąc się, przebaczył winowajcy.

* * *

Pytano się pewnego razu garbusa:

— Czy chcesz, aby twój garb zupełnie się wyprostował, albo też, czy chciałbyś, aby grzbiety innych ludzi zgarbaciały?

Garbus odpowiedział:

— Chcę, aby grzbiety innych ludzi zgarbaciały. Wtenczas mógłbym spoglądać na nich takim wzrokiem, jakim oni teraz na mnie spoglądają.